Rok II. Kraków-Podgórze, niedziela 22 maja 1904. Nr 117.

NOWINY DLA WSZYSTKICH

DZIENNIK ILLUSTROWANY
3 Cena nru wszędzie ct. (6 hal.)

PRENUMERATA w Krakowie i Podgórzu miesięcznie K. 1·40 za odnoszenie do domu dopłaca się 20 halerzy.
Na prowincyi miesięcznie K. 1·50
Prenumerata za granicą: miesięcznie 1 mk. 50 fen., 2 franki 50 ct.

OGŁOSZENIA
Na pierwszej stronie przed tekstem za wiersz petitu 1 K, ogłoszenia na czwartej stronie za wiersz petitu po 20 h. Nadesłane za wiersz 60 h.
Inseraty prowadzi w swoim zarządzie p. St. Cyrankiewicz, ul. św. Jana l. 30, dom pod „Pawiem" od 8 r. do 3 popoł. z wyjątkiem niedziel i świąt.

Na Lwów skład i ekspedycya: Agencya Sokołowskiego — Pasaż Hausmana 9 —

REDAKCYA I ADMINISTRACYA: ul. Zacisze 7 (obok gmachu starostwa) Telefon Nr. 512.

Redaktor naczelny: LUDWIK SZCZEPAŃSKI.

Wiadomości ustnie, telefonicznie i listownie przyjmuje redakcya — (Telefon 512) — od godz. 7 rano do godz. 8 wieczorem. — Rękopisów nie zwraca się.

„Nowiny" wychodzą codziennie z wyjątkiem poniedziałków i dni poświątecznych. — W chwilach ważnych dodatki wieczorne.



Widok z blanków Wawelu na Wisłę i klasztor na Bielanach.

❋ ❋ ❋

Na Zielone na Święta,
Gdy świt błyśnie rumiany,
Spieszy ludek krakowski
Na kochane Bielany!
Furą, bryczką, dorożką,
A kto krzepki, ten pieszo,
Spieszy ludek krakowski,
Spieszy rzesza za rzeszą.

Raźno, gwarnie i strojnie,
Spieszą każdym gościńcem,
Ci przez Wolską rogatkę,
A ci znowu Zwierzyńcem.

Całe miasto podąża
Na doroczne to święto
W stary klasztor zakonny
Z wypisanem *memento!*
Idą, płyną za miasto,
Pod ten namiot podniebny:

Złote kosy dziewczyny,
I staruchą włos srebrny,
I twarz troską zorana,
I pierś szczęściem rozrosła,
I wyrobnik na dniówkę,
I sławetne rzemiosła:
Idzie czeladź, cechowi,
Majstry z dziada pradziada,
Antków, Ferdków z terminu,
Rozigrana gromada,
I wesoły rój szwaczek,
I jejmoście i pany,
Idzie serce Krakowa,
Lud krakowski kochany.

Idzie... płynie... gaworzy,
W tłum tysiączny urasta...
Coraz gwarniej od Wisły,
Coraz ciszej od miasta,
Coraz ciszej wśród murów,
Coraz polem weselej...
A tam już z pod huśtawek,
Słychać dźwięki kapeli!

Już czeladnik z pod pachy
Harmonikę dobywa
I do pani majstrowej
Robi oko a śpiewa.
Bo majstrowa, choć swarna,
Miękka w sercu niewiasta...
Jest wędzonka... serdelki,
Swego pieku są ciasta.
I w łubianym koszyku
Szklanych szyjek tkwi szereg...!
Snadź o piwie, napitkach
Sam pomyślał majsterek!
Sam ci majster przynagla:
— Jedz! używaj we święto!
Ale w dzionek powszedni
Pilnuj pracy! *Memento.*

Trzy pytania.

(Nowa legenda L. Tołstoja).

Gdzieś, kiedyś był król, który mówił o sobie, że wszystkoby mu się udawało, gdyby wiedział, kiedy jaką się sprawą zająć, gdyby wiedział, jakim ludziom ufać i gdyby zawsze wiedział, która sprawa jest najważniejszą.

A zadecydowawszy to o sobie, kazał ogłosić w swojem królestwie, że hojnie nagrodzi tego, który nauczy go znaleść dla każdej sprawy czas najodpowiedniejszy, wybierać ludzi najpotrzebniejszych i wyróżniać bez omyłki sprawę, najważniejszą z pośród innych spraw.

I przychodzili mędrcy do króla i dawali to takie, to owakie odpowiedzi na jego pytania.

Na pierwsze pytanie jedni odpowiadali, że czas najodpowiedniejszy dla wszystkich spraw znaleść można wtedy, gdy się z góry określi rozkład dni, miesięcy i lat i gdy się ściśle tego trzymać będzie.

„Tylko wtedy — upewniali — każda sprawa w swoim czasie będzie załatwiona".

Inni mędrcy upewniali, że nie można z góry określić, kiedy się jaką sprawą zająć i że nie należy tracić czasu napróżno, a że trzeba się liczyć z biegiem spraw i robić w danej chwili to, co można.

Inni mówili, że choćby najuważniej śledził król biegi spraw — jeden człowiek nie może, w żadnym razie, ściśle określić, co ma wyniknąć w tym lub owym czasie — bo na to potrzeba rady mędrców, którzy określać będą, co w danym czasie zrobić potrzeba.

Wreszcie inni jeszcze dowodzili, że są sprawy, które nie mogą być dokładnie zbadane do czasu zwołania radców, a muszą być rozstrzygane natychmiast, czy nadszedł czas odpowiedni do ich rozstrzygnięcia, czy nie. Lecz, aby rozstrzygać to prawidłowo, trzeba z góry wiedzieć co przyszłość przyniesie. A wiedzieć to mogą jedynie wróżbici i dlatego, aby znaleść czas odpowiedni dla każdej sprawy, należy ich o to zapytać.

Również rozmaite były odpowiedzi na drugie zapytanie.

Jedni upewniali, że najpotrzebniejszymi dla króla ludźmi są ci, którzy mu mogą pomagać w sprawach zarządu państwem; inni, że najpotrzebniejsi są mu duchowni, jeszcze inni, że najbardziej potrzebni są lekarze, a inni znowu dowieść usiłowali, że najpotrzebniejsi to — rycerze.

Na pytanie trzecie — jaka sprawa jest najważniejsza — jedni odpowiedzieli, że nauka najważniejszą jest sprawą na świecie, inni, że najważniejszą jest sztuka wojenna, a inni, że najbardziej ważną sprawą jest służba Boża.

Odpowiedzi były najróżnorodniejsze i dlatego król na żadną z nich się nie zgodził i nikomu obiecanej nie dał nagrody.

Aby jednak otrzymać gruntowniejszą odpowiedź na swe pytania, postanowił zadać je pewnemu starcowi, którego mądrość cieszyła się głośną sławą w całym świecie.

Starzec pędził swój żywot samotnie, w lesie, a nawiedzali go tylko ludzie biedni i mali. Król odział się przeto w zwykłą odzież, a zbliżywszy się do lasu, zostawił u stróża swoją, zsiadł z konia i skierował się do chaty starca. Kiedy przybył na miejsce, starzec kopał grządki wokoło chaty. Ujrzawszy gościa, pokłonił mu się i pracował nadal. Starzecu miał oblicze zmarszczkami pokryte, ruchy słabe, ciężko oddychał i stękał za każdem wsunięciem łopaty w ziemię.

Król poszedł doń i powiedział:

— Przyszedłem do ciebie, mądry starcze, prosić o odpowiedź na trzy pytania: jaki czas wybrać należy do każdej sprawy, aby potem nie trzeba było się rozczarowywać; jacy ludzie są najpotrzebniejsi, jakim ludziom trzeba więcej wierzyć, a jakim mniej; wreszczcie jakie sprawy są najważniejsze, tak ważne, że trzeba je załatwiać przed innemi?

Starzec wysłuchał króla, nie odpowiedział mu jednak nic, napluł sobie na dłonie i znów zaczął kopać.

— Tyś się zmęczył — rzekł król — daj mi łopatę, pokopię za ciebie.

— Dziękuję — odpowiedział starzec, oddał królowi łopatę i sam legł na ziemi.

Po przekopaniu dwóch grządek przerwał pracę i powtórzył swe pytania.

Starzec nie odpowiedział, wstał i wyciągnął rękę po łopatę.

— Teraz ty odpocznij, a ja będę kopał — powiedział on.

Król jednak nie dał mu łopaty i sam kopał w dalszym ciągu.

Przeszła godzina, dwie; już słońce skryło się za drzewami. Król wetknął łopatę w ziemię i powiedział:

— Przyszedłem do ciebie mądry starcze, prosić cię o odpowiedz na me pytania. Jeśli odpowiedzieć nie umiesz — powiedz, a odejdę!

— Spójrz, ktoś biegnie ku nam — popatrzmy, kto to?

Król obejrzał się i zobaczył człowieka, pędzącego z lasu w kierunku chaty: brodę miał dużą, ręce trzymał na piersiach i z pod rąk wyciekała mu krew.

O dwa kroki od króla człowiek ten padł na ziemię; oczy zamknęły mu się, leżał nieruchomy i słabo jęczał.

Król wraz ze starcem rozpiął ubranie leżącego. Głęboka rana czerwieniała na jego ciele. Król obmył mu ranę, jak umiał, obandażował ją swojem ubraniem i chustką starca. Ale krew nie przestawała się sączyć, król więc musiał kilkakrotnie zdejmować przesiąknięty ciepłą krwią opatrunek, przemywał i bandażował ranę. Kiedy krew zatamowała się, ranny przyszedł do przytomności i poprosił o wodę.

Król przyniósł świeżej wody i dał choremu do picia. Słońce w tym czasie zaszło, nastał chłodny wieczór. Król wraz ze starcem wnieśli chorego do izby, ułożyli go w pościeli; on w tejże chwili zamknął powieki i umilkł. Król zaś tak od pracy i chodzenia zmęczył się, że rozciągnął się pod progiem chaty i również zasnął. Tak mocno przespał noc całą, ani razu się nie przebudziwszy, że rano, kiedy otworzył oczy, długo nie mógł uprzytomnić sobie, gdzie się znajduje i kto jest ten człowiek z długą brodą, który leży tu w pościeli i patrzy na niego uporczywie swemi błyszczącemi oczyma.

— Przebacz, wyrzekł słabym, ledwie zrozumiałym głosem chory, — ujrzawszy, że król się obudził i patrzy na niego.

— Ja cię nie znam i nie mam ci co przebaczać — odpowiedział król.

— Ty mnie nie znasz, ale ja znam ciebie. Jam twój wróg, a przysiągłem zemstę zato, żeś ukarał śmiercią mego brata, a mnie odebrałeś stanowisko. Ja wiedziałem, że sam jeden, bez przewodnika, pójdziesz do starca i postanowiłem zabić cię, gdy będziesz powracał. Ale słońce kłoniło się ku zachodowi, a tyś nie powracał. Wyszedłem wtedy ze swej zasadzki, aby się dowiedzieć gdzie jesteś i wpadłem w ręce twej straży, którąś zostawił pod lasem. Ona poznała mnie i raniła Udało mi się uciec, ale umarłbym od krwi upływu, gdybyś mi nie był przewiązał rany. Jam chciał cię uśmiercić, a tyś uratował mi życie. Jeżeli żyć będę, a ty nie odepchniesz mnie od siebie, będę ci służył, będę twym pokornym niewolnikiem i dzieciom to przekażę. Przebacz mi!

Uradował się król, że mógł tak łatwo pogodzić się ze swym wrogiem śmiertelnym i nietylko mu przebaczył, ale obiecał powrócić mu stanowisko. Obiecał mu również bardzo chętnie przysłać swą służbę i swego nadwornego lekarza.

Pożegnawszy się nim król wyszedł, z chaty. Oczy jego szukały starca. Chciał przed odjazdem raz jeszcze prosić o odpowiedź na swe pytania. Starzec w tym czasie znajdował się przy skopanych wczoraj zagonach. Klęczał i rzucał nasiona do ziemi

Król podszedł do niego i rzekł:

— Po raz ostatni proszę cię, mądry starcze, odpowiedz na me pytania.

— Wszakżeś już otrzymał odpowiedź — odparł, patrząc na króla badawczo starzec, klęczący na słabych, trzęsących się kolanach.

— Co takiego? — jam już otrzymał odpowiedź? — pytał król.

— Rozumie się — odpowiedział starzec. — Gdybyś wczoraj nie zlitował się nademną i nie przekopał grzędy za mnie, to powróciłbyś samotny do swej straży, ten człowiek napadłby na ciebie, a tybyś żałował, żeś nie został u mnie. Czas ten wobec tego był najbardziej odpowiedni do kopania grząd, a ja byłem najpotrzebniejszym dla ciebie człowiekiem w tym czasie, najważniejszą zaś dla ciebie sprawą było właśnie to dobrodziejstwo, któreś mi wyświadczył. A kiedy ten człowiek z brodą przybiegł tu, najodpowiedniejszem było przewiązanie mu r[illegible] i pozostanie przy nim, bo inaczej on byłby umarł, nie pogodzony z tobą. Okazuje się, że on był również najpotrzebniejszym dla ciebie człowiekiem, a to, coś ty zrobił dla niego, było najważniejszą dla ciebie sprawą. Zauważ przeto sobie, że najodpowiedniejszym czasem jest zawsze jedno i to samo: chwila bieżąca — a mianowicie dlatego jest najważniejszą i najodpowiedniejszą, że możemy rozporządzać sobą. Najpotrzebniejszym dla ciebie człowiekiem będzie ten, z którym załatwisz sprawę zaraz, ponieważ nikt nie może wiedzieć, czy będziesz miał jeszcze jakąś sprawę z innym człowiekiem. Wreszcie — najważniejszą sprawą — jest robienie dobrze temu, z którym ma się do czynienia teraz, bo tylko na to dane ci jest życie twoje!

Chęć, potrzeba, wola i mus.

Rzeczka wylała i zerwała most.

Drogą zbliżyła się nad wodę Chęć. Mała, zgrabna, ładna, wdzięczna, w lekkiej, czystej sukience. Patrzy — mostu niema. Siadła na brzegu i, kąpiąc nóżki w wodzie, oddała się, jak zwykle, marzeniom.

Widziała w duchu, jak nadjeżdża wóz, ona wskakuje i przez rzeczkę przejeżdża. Widziała, jak zjawia się rycerz świetny na koniu, porywa ją w ramiona i przewozi na drugi brzeg. Widziała, jak drzewo na przeciwległym brzegu łamie się i spada na rzeczkę, tworząc most naturalny; ona przechodzi lekką stopą... Ba, przez chwilę zdawało się jej, że ma skrzydła u ramion i przez rzeczkę przefrunie.

Nagle szorstki, gniewny głos zbudził Chęć z marzeń.

Stara, posępna Potrzeba przyszła nad rzekę, chcąc przejść przez most. Poczęła opowiadać Chęci, jak jej pilno, jakie ma straty z powodu przeszkody w podróży, narzekała na nieporządki, wołała ludzi, skarżyła się, żądała pomocy.

Wtem na drodze ukazała się wędrownica Wola. Kobieta cicha, poważna. Nie wszczynała rozmowy, lecz wnet zbadała brzegi rzeki, resztki mostu. Znalazła tykę, wymierzyła głębokość wody, bystrość prądu, szerokość rzeki i już podkasała suknię, aby przeskoczyć przez przeszkodę, gdy zjawił się nowy podróżnik.

To spieszył Mus. Spieszył, jak ten, co nie ma czasu na namysł. Widzi, że mostu niema, porwał Chęć, Potrzebę i Wolę i pomimo ich przestrachu i krzyku, przebiegł przez rzeczkę, aż się woda spieniła.

Gdy trzy wędrownice znalazły się na przeciwległym brzegu i poczęły doprowadzać do porządku zmoczone sukienki, Mus już był daleko... Trzy towarzyszki podziwiały, jak rzecz na pozór trudną i niewykonalną, Mus łatwo przeprowadził.



List z „Rondla:"

Sowa cieszy się niezmiernie. — Jaki powód? — Wojciech, referent od wszystkiego. — Nikita przerażony. — Za własne pieniądze kupimy armaty. — Precz z Macedonią. — Bądźmy lojalni dla państwa i jego proroka Hablińskiego. — Co to będzie za dzień? — Czechy nie wiedzą, czego chcą. — Nowa gałąź handlu i przemysłu. — Neni heski. — Zielone świątki. — Dlaczego na Bielany niewiastom wstęp wzbroniony?

Mam powód do niesłychanej radości, tym razem wysoce polityczny. Muszę się bowiem pochwalić przed szanownymi moimi przyjaciółmi, że od pewnego czasu idę wzorem zawodowych polityków naszych i „myślę" przedewszystkiem o mocarstwowem stanowisku naszej ukochanej monarchii. Jakże się zatem nie radować wobec wspaniałego przedłożenia wojskowego w delegacyach, jak nie uronić łzy dumy wobec wystąpienia p. c. i k. majora „ausser Dienst" Popowskiego, jako referenta nowych armat i Wojtusia Dieduszyckiego, wytrwałego mowcy „pro".

Wojciech Dieduszycki jest istotnie naszą chlubą jako uniwersalny znawca wszystkiego, o czem się tylko „gadać" zacznie. Taka siła w Kole polskiem, przy ogólnym braku fachowców, jaki się tam odczuwać daje, jest nieocenioną. — Nie dziw, czy idzie o kwestye mody, czy umundurowania w szkołach, zmianę dworskiej etykiety, zbadanie czystości krwi w rodzie Karadżordżewiczów, lub o nowe łodzie torpedowe, celem wzmożenia austryackiej powagi na lądzie. Wojciech Dieduszycki zabierze głos, powie dużo, długo, ładnie, mało kto go wysłucha do końca, poczem „mówca odbierać będzie z różnych stron powinszowania".

Otóż, kochani moi czytelnicy, będziemy potęgą na lądzie i morzu taką, że już nikt nie ośmieli się urągać naszej mocy i nawet książę Mikołaj czarnogórski, który się ciągle tam na dole jakoś podejrzanie skrobie — będzie musiał przysiąść i spełni się nareszcie to, do czego hr. Gołuchowski dążył napróżno przez lat tyle: Nikita będzie upokorzony.

Wyobraźcie sobie, jaką piękną, życie osładzającą, jest myśl, że niebawem po Adryatyku krążyć będą wspaniałe nowe statki, torpedowce, że co roku urządzane będą morskie manewry, na które zjeżdżać będą przedstawiciele zaprzyjaźnionych mocarstw, a nasza dzielna, wierna marynarka, której przodkowie dali tyle dowodów męstwa i odwagi w wojnie i w pokoju — będzie podczas tych manewrów znoszeniem morskiej choroby zaprawiać się i przygotowywać na zdobywcze boje przyszłości! I pomyśleć, że to wszystko za nasze własne pieniądze, zapracowane, dzięki opiece c. k. rządu, przysporzone dzięki korzystnym traktatom handlowym, przywiezione do kraju, dzięki ułatwionej emigracyi na Saksy, gdzie nasi obywatele chlubnie zdają egzamin z tęgości i ochoty do pracy, budząc zarazem respekt i sympatyę dla państwa, które swojemi siłami nie tylko „swoje obrobi, ale jeszcze i na zarobek wyjdzie".

Wierzę przeto, że radość moją z nowozamierzonego dorobku mocarstwowego podziela każdy i ochotnie odda wszystko, co tylko będzie mógł, na nowe armaty, torpedy, karabiny, rewolwery, wyłogi, gwiazdki — bo już nam dosyć nieokrzesanej buty i arogancyi Piotra Karadżordżewicza, Ferdynanda bułgarskiego, dosyć nam wysoce przykrych i nieprzyzwoitych macedońskich ruchawek i piły albańskiej. Zobaczycie, jak to wszystko przycupnie na samą myśl, że mamy torpedy na Adryatyku i na wiadomość, że wszystko, aż do oficerskich wyłogów, zostało zreorganizowane.

No, a potem, kiedyś, gdy Bóg pozwoli, gdy „fala dziejów, szumiąca przez wieki ponad głowami ludzkości, przewali się w przepaść zapomnienia" i słońce pokoju zabłyśnie, kto wie, czy dzięki tym nowym torpedowcom i mądrości hr. Gołuchowskiego — nasza ukochana monarchia nie znajdzie się wówczas w Salonikach, sama nie wiedząc, jakim sposobem...

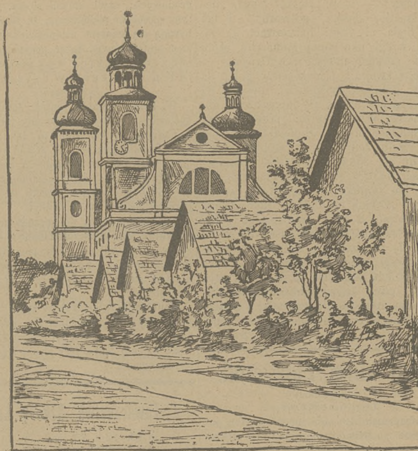
Oby wnuki moje i wasze dożyły tej szczęśliwej chwili, bo naprawdę za dużo już tej Macedonii w Salonikach...

Nie bierzcie zatem, kochani czytelnicy za złe panu Hablińskiemu, gdy wam coraz więcej krwi serdecznej upuszczać będzie, nie ujadajcie na niego — on przecie musi pracować dla chwały naszego oręża i naszego „mocarstwowego stanowiska". Zresztą kochani czytelnicy, p. Habliński musi rozłożyć na głowy „mniejszych" tę stratę, którą przez jego zbyt łagodne wymiary co do notorycznych krociarzy i milionerów ponosi skarb państwowy. Te drobne nieprzyjemności przeminą, zapomnieć o nich łatwo, bo przecieu nas gdzie spojrzysz, to zarobek, gdzie się obrócisz, uczciwy kredyt... A przy tem i ludzie porządni, honorowi... Państwo nasze wdzięczne swoim synom za wierność, ujmuje się za nimi w każdej opresyi, nawet za największym szubrawcem. Wrazie czego odrazu wkracza państwo i powiada: Hola, przepraszam, taki interes kosztuje 80 koron".

Ach, wyobraźcie sobie, wy wszyscy, którym może nie w smak wielkie dzieło wzmożenia naszej potęgi narodowościowo-kolonialnej, wyobraźcie sobie ten słoneczny, jasny dzień, w którym w licznych portach naszych c. k. oceanów nastąpi „spuszczenie" na wodę nowych statków, torpedowców, krążowników! — Flagi będą powiewać, muzyki zabrzmią, pod namiotami w pasy czarno-żółte odprawiać się będzie nabożeństwo. A potem akt poświęcenia, mowy, hymn narodowy — i plusk, plusk, plusk, leci torpeda za torpedą, bum bum, bum, walą na wiwat!!! Co to za telegramy rozeszle wówczas lwowskie biuro korespondencyjne! Może choć tych jednych nie wytną z wiedeńskich dzienników! Czechów tylko pojąć nie mogę. Dziwni ludzie. Nic im nie zależy ani na monarchii, ani na powadze Koła polskiego. Nie ma w nich żadnego przywiązania do naszej morskiej flagi, którą chcemy rozwinąć u wybrzeży wszystkich ludów, a w ten sposób wymódz handel austryacki. Wszak Austrya mogłaby przynajmniej dwie części świata zaopatrzyć w papier do owijania masła, eksportując wszystkie arkusze fasyi podatkowych z lat ubiegłych, *ministerial erlassy*, tajne rozporządzenia administracyjne, fałszowane karty wyborcze, skonfiskowane pisma za obrazę np. kardynała Puzyny, wreszcie orzeczenia Najwyższego Trybunału o zbrodni gwałtu publicznego z § 81 uk. i t. p.

W ten sposób ruszyłaby się także oświata, bo Hererowie i Papuasy, którymby zawijano masło w te produkta austryackiego urzędowego przemysłu, zdjęci ciekawością, poczęliby się uczyć czytać, uczuliby potrzebę produkowania również jakich pism humorystycznych, a nadewszystko nauczyliby się urzędowej sumienności i porządku.

Nie mam miejsca i czasu na wyliczanie wszystkich dobrodziejstw, jakieby na nas spadły, a wszystko dzięki nowej flocie... A Czesi nie chcą tego zrozumieć... Ten Kramarz krzyczy i krzyczy w delegacyach — przeszkadza w sposób niegrzeczny hr. Gołuchowskiemu, naszemu ministrowi-rodakowi, bije w pult i powtarza aż do uprzykrzenia: ***neni heski, neni heski!*** („Heski" jest to czeski przymiotnik, który jednak nie ma nic wspólnego z takim samym rzeczownikiem, używanym w galicyjskim żargonie; znaczy „ładny", „miły",



Kościół OO. Kamedułów na Bielanach.

„pachnący“ — n. p. „heska“ holka, „heskie“ knedle, „heska“ potwora“). I tak długo będą ci Czesi hałasować, aż im kiedyś wrogi ukochanej monarchii skórę na „nie heskiem miejscu“, wytrzepią.

Zielone święta... Ludek ruszy sobie na Bielany pohulać, pośpiewać, pograć na harmonikach i najeść się odpustowych obwarzanków. W te dwa dni, posępne zwykle i milczące obejście Kamedułów otwarte dla ogółu. Jeden pisarz złotego wieku (o ile mi się zdaje Jan Pasek) tłomaczy w sposób bardzo przystępny, dlaczego Kameduli nie dopuszczają kobiet do swego kościoła. „Czynią to dlatego, jako że im jest wiadomo, iż rodu niewieściego pchły radę się trzymają, a zakonnicy tej surowej reguły do czarnych, skaczących pasożytów wielki wstręt i odrazę czują. To też po świątkach starannie kościół zmywają, aby snać gdzie jakowe pchlisko niewieściej krwi pełne miejsca nie zagrzało i potem umartwionych ciał zakonnych nie niepokoiło“. *Sowa.*

Z za kulis Floryanki.

(Dokończenie).

Centralne biura.

Na stronicach 48—55 omawia autor, już tylokrotnie po dziennikach omawiane stosunki biurowe — w szczególności ministeryalne czy arcyksiążęce dodatki Ginwiłła, Piotrowskiego i Szatkowskiego.

Tutaj zaznacza, że biura oddziału IV. i V. są zbyteczne i niepotrzebne.

W tym wypadku z autorem zgodzić się zupełnie nie możemy.

Zupełnie bowiem niepotrzebny jest oddział II. z nadreferentem Bocheńskim i podreferentem Birubem. P. Bocheński chyba jedynie na to dowodzi t. zw. oddziałem agencyjnym, by mógł nadawać agencye swoim krewniakom — lub szkontrować agencyę w Krakowie p. T.

To samo tyczy się oddziału III., czyli technicznego — kosztuje on bowiem już wiele pieniędzy — a rezultat jest: kupa map sytuacyjnych miast i miasteczek, które może jeszcze z 5 lat z biedą celowi swojemu odpowiadać będą mogły, a które nawiasem mówiąc, leżą bez użytku po sekcyach w osobnych do tego sprawionych szafkach. W zimie ćwiczy się oddział techniczny w rysowaniu, a w lecie na wolnem powietrzu szkicuje.

Podobnie na nie wiele przydatny jest oddział V. (wymysł Ginwiłła Piotrowskiego).

Jedynie, zdaniem naszem, użytecznym i potrzebnym jest bardzo oddział IV.; lecz niestety p. referent tego oddziału, aczkolwiek człowiek prawy, posiadający wyższe wykształcenie i fachowiec, p. L. Gadulski, jest zaślepiony w swym bezpośrednim przełożonym, p. Ginwille Piotrowskim, do tego stopnia, że sam wyższej władzy sprzeciwiać się nie chce, — a jednak od p. Gadulskiego p. Piotrowski z Szatkowskim wiele mogliby się jeszcze nauczyć!

Policzmy tylko 10 procent prowizyi ze wszystkich sklepów, które na rachunek Tow. wpływają, policzmy oszczędności domowe, policzmy tylko, ile zaoszczędzono na papierze, drukach itd., gdzie dawniej nic nadzwyczajnego nie było, gdy na jeden i ten sam druk dwa razy papier z magazynu wydano — lub nieraz zapłacono za rzeczy, których wcale nie dostarczono. Jest to oddział dla kontroli administracyi, lecz rzeczywiście stojący pod kontrolą centralnej buchalteryi, czego autor prawdopodobnie nie wie.

Szkody gradowe.

Bardzo złym, a nawet raczej smutnym objawem, należy nazwać „zaprzestanie“ umieszczania w sprawozdaniach wykazów szkód gradowych; czyli innymi słowy, wzbudzanie tym sposobem podejrzenia, że likwidacye odbywają się czasem niesprawiedliwie i systemem protekcyjnym. Autor przytacza iż fakt w jednem z takich wykazów wykrył jeden z delegatów defraudanta.

Zakończenie.

W końcu omawia autor sprawy „działu życiowego“, który prowadzony jest na efekt i nazywa prowadzenie to lekkomyślnością lub nieudolnością — i na dowód swych twierdzeń zaznacza, że gospodarka zaiste bardzo kiepska być musi, kiedy pomimo, że rok 1903 nie był najgorszym, a zwrotu wcale nie ma, pozostał jednak za to deficyt.

Kończy apostrofą do zarządu nowego, który uważa za zgoła niefachowy i marnotrawiący grosz publiczny, że pan Ginwill Piotrowski prowadzi gospodarkę eksperymentalną kosztem ogółu, narażając instytucyę na ogromne straty.

Konkluzya zatem byłaby taka: że dopokąd Floryanka nie pozbędzie się swoich „złych duchów“, Piotrowskiego i Szatkowskiego, rozwijać się nie może, lecz chylić się będzie dalej do upadku. *Quis.*

Z Towarzystwa Szkoły Ludowej.

W dniach 22 i 23 maja br. to jest w Zielone Święta, odbędzie się w Krakowie walne zgromadzenie delegatów Tow. Szkoły Ludowej. Zarząd główny Tow. przygotował sprawozdanie z działalności Towarzystwa za rok 1903, ozdobione ilustracyami szkół polskich założonych przez Tow. Szkoły Ludowej. — Sprawozdanie zostanie rozdane członkom, biorącym udział w walnem zgromadzeniu.

Sprawozdanie omawia szereg załatwionych przez Zarząd główny spraw.

Między innemi Zarząd główny weszedł w porozumienie z Tow. Kółek rolniczych w kraju, celem wspólnego organizowania Kółek rolniczych i czytelń ludowych, układając dla takich czytelń szczegółową instrukcyę. Do spraw bardzo żywotnych, przez Zarząd główny załatwianych, należy organizowanie kursów dla analfabetów (58), z których najświetniej rozwija się kurs dla żołnierzy załogi krakowskiej.

Również Zarząd główny zajmował się różnemi przedsiębiorstwami, któreby zasiliły fundusze Towarzystwa, jak n. p. wydawanie „marek narodowych“, blankietów telegraficznych Towarzystwa Szkoły Ludowej, kalendarza ściennego, oraz Zarząd weszedł w porozumienie z wielu przemysłowcami i kupcami, skłaniając ich, aby w pewnej mierze opodatkowali swoje towary na rzecz Tow. Szkoły Ludowej. Najważniejszy dział czynności Zarządu głównego stanowią sprawy szkolne, którym w sprawozdaniu poświęcono osobny rozdział.

Zarząd główny w zakresie budowy i organizacyi szkół ludowych z językiem polskim wykładowym opierał się na tej zasadzie, by szkoły takie tworzyć przedewszystkiem w gminach kresowych, narażonych na wynarodowienie. I tak zorganizował Zarząd główny szkołę im. Maryi Konopnickiej w **Morawskiej Ostrawie** o typie 4 klasowej szkoły normalnej.

Potrzebę tej szkoły, jej wysokie posłannictwo kulturalne i narodowe uznano powszechnie i dlatego Zarząd otacza tę narodową placówkę szczególną opieką. Również szkoła bialska im. Tadeusza Kościuszki ma do spełnienia ważne posłannictwo narodowe i dlatego Towarzystwo nie szczędzi funduszów na jej utrzymanie i rozwój. W ostatnich czasach zaszła konieczność gruntownego zreorganizowania grona nauczycielskiego tej szkoły, a regulacya płac, wprowadzić się mająca z rokiem najbliższym, będzie niezawodnie stanowić punkt zwrotny w dążeniach do postawienia szkoły bialskiej na poziomie zakładu wzorowego.

W roku sprawozdawczym wykończono budynki szkolne w Dębinie (ad Tomaszowice w pow. kałuskim), w Leszczynach pod Białą, oraz w Konopicy (w pow. lwowskim). Ilość dzieci, uczęszczających do szkół, utrzymywanych lub zbudowanych kosztem Tow. Szkoły Ludowej wzrosła w roku 1903/4 o 324, a w ogólności dosięgła cyfry 2352 dzieci, które jedynie dzięki Tow. Szkoły Ludowej korzystać mogą z nauki w języku ojczystym i tym sposobem ustrzedz się przed wynarodowieniem.

Stan finansowy Tow. przedstawia się zatem w roku 1903 następująco:

Dochody: K 71.303·84 (w r. 1902 47.936·05).

Wydatki: K 87.005·97 (w r. 1902 63.871·62).

Najpoważniejszą podstawą dochodów Zarządu głównego staje się Dar Narodowy 3 maja. — Suma, zebrana w r. 1903, wynosi K 17.406·11. Koła zebrały na ten cel w roku ubiegłym K 12.321·19.

Ogólny majątek Tow. w ruchomościach i nieruchomościach wynosi 320.376 K 47 hal. Budżet na rok 1904 preliminowano w dochodach i rozchodach w kwocie 95.308 koron 42 hal.

Towarzystwo Szkoły Ludowej jest największem towarzystwem polskiem, a liczba członków dosięga cyfry 18.000. — Patryotyczna działalność Tow. na wielkie zasługuje uznanie.

Koncert na szpital Bonifratrów w Krakowie.

Pomimo letniej pory, najniekorzystniejszej dla koncertów w zamkniętej dusznej sali, zebrało się wczoraj sporo osób — ciekawych usłyszenia chóru akademickiego. Ten chór złożony z kilkudziesięciu śpiewaków, jest chórem starym, to znaczy dawnym śpiewackim zespołem, w którym kilkunastu bardzo muzykalnych, rutynowanych i zamiłowanych członków stanowi od lat, przypuśćmy dziesięciu, główną podstawę. — Taki stosunek jest we wszystkich chórach zagranicą, a inaczej być nie może, bo chóru nie stwarza się z roku na rok. Chodzi tylko o to, aby się chór odnawiał, aby corocznym przybytkiem, choćby kilku sił dobrych, miał zapewnioną egzystencyę. Jeżeli dyrektor tego chóru p. Barabasz umiał rozbudzić zamiłowanie, to on bez wątpienia umie to równie dobrze i obecnie, byle by tylko był materyał dobry i posłuszny — bo w sztuce a szczególnie w muzyce, trzeba chcieć i umieć cicho i wytrwale pracować, a nie pragnąć natychmiastowego poklasku. Bądź co bądź, chór ten jakim jest, może być chlubą Krakowa i jest w stanie zadowolnić bardzo wybredne żądania. Chór wykonał wczoraj pod kierunkiem pana dyrektora Barabasza kilkanaście utworów, a między temi kilka bardzo trudnych, przeważnie bardzo pięknie, a zbierając huczne oklaski, umiał pomimo dodatków utrzymać publiczność do końca w naprężonej uwadze.

Na największą jednak pochwałę zasługuje gotowość, z jaką ci ludzie służą sprawie publicznej, nie szczędząc kosztów i pracy — to też wspaniały wieniec, ofiarowany w ręce dyrektora Barabasza chórowi i zasłużonemu dyrektorowi, był tak na swojem miejscu, że publiczność przyłączyła się owacyjnie do tego skromnego uznania.

Pani Gracka-Krzyżanowska zdobyła gorące oklaski za piękny śpiew, dobrą szkołę, wyborną dykcyę — a gdyby z temi zaletami złączone jeszcze być mogło cie-

pło i żywsze odczucie, można by zaliczyć ją do niezwykłych artystek.

Pan Skarżyński wykonał kilka utworów na wiolonczelę, które znalazły gorące uznanie i żądania dodatków. *Poraj.*

Zielone Święta
w wierzeniach ludu.

Wśród rozmaitych świąt należą „Zielone“ bez wątpienia do najweselszych na wsi. Przypadające w pełni wiosny, w piękne, ciepłe dni, są niewyczerpanem źródłem radości i uciech szczególniej, dla młodego pokolenia. Jak bowiem w Nowy Rok po „szczodrakach“, tak i w Zielone Święta chodzą pasterze po chatach, prosząc o jaja, które koniecznie zdobyć muszą, choćby im przyszło nawet je ukraść. Nazbierawszy ich dostateczną ilość, idą w pole i smażą sobie jajecznicę, przyczem i gorzałka często się znajduje, bo w niektórych wsiach na Zielone Święta dostają pasterze zapłatę za paszenie bydła od początku wiosny, poczem za nową zapłatą godzą się paść do żniw, od żniw zaś nowe umowy zawierają do św. Michała.

Powszechne zdobienie drzwi i okien gałęziami drzew liściastych łączy się z wierzeniem, iż te gałęzie mają moc odwracania nawałnic, gradów i piorunów; gdzieniegdzie do tego zdobienia używają gałęzi czarnej olszy, szczególniej skutecznej wśród gwałtownych burz. Oprócz tego w wigilię Zielonych Świąt wtykają w izbach do szpar koło okien i w stajniach gałązki jesionowe, a przez oba święta izb nie zamykają, rozrzuciwszy po nich tataraku, którego również pełno w te dni na posadzkach kościołów. W niektórych okolicach, w pierwsze i drugie święto po południu, krewni odwiedzają się wzajemnie, przyczem raczą się wódką oraz kukiełkami, pieczonemi na maśle i jajach.

Wieczorami w oba święta palą sobótki, lubo zwyczaj ten, datujący się od czasów pogaństwa na ziemiach słowiańskich, przypada i bywa głównie obchodzony w dniu zrównania dnia z nocą t. j. w wigilię św. Jana, 23 czerwca. W wielu jednak wsiach i w Zielone Święta, gdy zmierzch zapadnie, zdala od chat, na wzgórzach, widzieć można rozpalone ogniska, bieganie z płonącemi pochodniami i płomieniste koła, zatłaczane wiechami słomy, przymocowanemi do długich kijów. Słychać przytem śpiewy, gromkie okrzyki, wystrzały, a gdzieniegdzie i wesołą muzykę. Z paleniem sobótek w Zielone Święta połączone są różne wierzenia. I tak: pasterze zapalają pochodnie i gonią z niemi po polach, aby urodzaje były piękne; przez ogień przeskakują, aby ich nogi przez rok nie bolały, a stare kobiety grzeją się nad ogniem dla uchronienia się od zimna, co w podeszłym wieku przy braku ciepłego okrycia tak bardzo daje się we znaki. Gdy się dopala ognisko sobótki, ułożone z gałęzi suchego jałowca lub świerczyny, żegnają je starsi, aby dyabeł ognia nie wyniósł na wieś i nie podpalił jej, a przez spalenisko wszyscy przeskakują dla zabezpieczenia nóg od kalectwa. Bywał zwyczaj w pewnych okolicach, że po spaleniu się stosu parobcy i chłopaki z pochodniami w ręku, zrobionemi ze szmat, napojonych żywicą i przytwierdzonych do kijów, ustawiali się w kształcie krzyża i tak obchodzili zboża, śpiewając pieśni nabożne. Gdzieniegdzie zaś wbijają do ziemi wysoki pal, okręcają go słomą, choinami z sośniny lub świerczyny i zapalają, a parobcy i chłopaki palą stare miotły, polane smołą, kije, poobwijane słomą i biegają dookoła pól, obsianych zbożami, aby je ochronić od zarazy, sprowadzić urodzaj i pogodne żniwa.

Gdy w oba dni Zielonych Świąt deszcz pada, lud utrzymuje, że ubędzie zboża na dwóch młocków, gdy zaś jeden dzień świąteczny jest słotny, ubywa na jednego młocka. Deszcz zatem w Zielone Święta jest bardzo niepożądanym, a piękna słoneczna pogoda napawa wieśniaka otuchą i nadzieją.

Jubileusz kodeksu napoleońskiego.

Zupełnie w cichości obchodził ostatniemi czasy w Paryżu jubileusz swój stuletni staruszek, który, gdyby należał do istot myślących i czujących, byłby może — dość częstym zwyczajem tych Matuzalemów — wstydził się swojego wieku i zataił go. Nie należy on jednak do istot myślących, a twórcy jego, którzy się do nich zaliczali, dawno już nie żyją. Mamy tutaj na myśli kodeks napoleoński. Od wieku już kodeks ten reguluje we Francyi i w większej części krajów cywilizowanych, stosunki między ludźmi; wita u kolebki nowo narodzone dziecię i nie opuszcza człowieka aż do śmierci; rządzi związkami ludzkiemi, interpretuje kontrakty, przewiduje wszelkie czyny, wszelkie przypadki i wypadki, do których sposobność daje miłość, interes i nienawiść; dominuje nad całem życiem indywidualnem, rodzinnem i społecznem i łatwo pojąć, że Bonaparte na św. Helenie, rzuciwszy okiem na życie swoje, sławą promienne, odczuwał większą dumę z ustanowienia kodeksu tego, aniżeli ze zwycięstw pod Wagram, Austerlitz i Jeną.

A jednak, czy w istocie miał powód do tak wielkiej dumy? Utworzył dzieło potężne, co prawda — lecz w zasadzie pełne wad. Kodeks jego, jak zresztą każde ustawodawstwo, nie może być nieśmiertelny, a stuletni staruszek przeszedł już wiele gwałtownych operacyi i dziś chyli się mocno do upadku. Przedewszystkiem uszczerbku doznała, przez liczne wcielania nowych ustaw, główna zasada kodeksu cywilnego o absolutnem prawie własności. I tak w r. 1848 wprowadzono prawo powszechnego głosowania, które — co prawda — w rok później cofnięto. W r. 1864 wprowadzono prawo strejku, w r. 1884 prawo stowarzyszania się, rok 1892 i 1900 ograniczyły czas pracy. I tak w imię hygieny publicznej i sprawiedliwości kodeks cywilny ulegał powolnemu rozkładowi. Mimo to wiele jeszcze zmian nastąpić musi, zanim zwykły proces przemiany instytucyi społecznych dojdzie do tego punktu, iż peknie stara skorupa, a wyłoni się twór nowy. Przedewszystkiem gruntownych zmian wymaga prawodawstwo, ściągające się do kobiet. Wiadomo, że jakkolwiek przy ułożeniu kodeksu pracowało wielu uczonych, to jednak duszą jego był Napoleon, to też nosi on piętno jego własnej, despotycznej natury. Kodeks napoleoński, podobnie jak twórca jego, zajmuje się kobietami o tyle tylko, aby je pognębić. I nie dziw też, że zdaniem jego, „kobiety zajmują się tylko zabawami i tualetą; trzeba więc, aby wiedziały, że wychodząc, z pod opieki ojca, wstępują pod opiekę męża“, który ma nad żoną panowanie prawie absolutne. I nie dziw z drugiej strony, że kobieta, która pracuje, kocha, cierpi, rodzi dzieci i karmi je, która jest robotnicą, żoną i matką, nie mogła znieść zarzutu, skierowanego od kilku tysięcy jednostek, stanowiących t. zw. „wyższe towarzystwo“, i że feminizm, jako jeden z głównych swoich punktów postawił walkę o zmianę prawodawstwa cywilnego. W dwóch miejscach głównie kobiety i zwolennicy ich żądań w parlamencie pragną uczynić wyłom: znieść prawo, mocą którego kobieta zamężna nie może rozporządzać swoim zarobkiem, lecz musi dochody z własnej swojej pracy poddać administracyi mężowskiej, następnie zaś uzyskać prawo poszukiwania ojcowstwa. Ta ostatnia zmiana staje się tembardziej konieczną, iż liczba dzieci nieślubnych we Francyi wzrasta stale; leży to zatem już w interesie państwa nie pozostawić kobiecie samej — zwykle ubogiej, a często lekkomyślnej — całego ciężaru utrzymania i wychowania dzieci naturalnych, które bądź co bądź stanowią znaczną liczbę przyszłych obywateli“. *Lector.*

Głowa Varsalony.

Donoszą nam z Rzymu: Opodal drogi we wiosce Castronuovo, niedaleko Palermo, na polu należącem do barona Agnello, znalazł robotnik wiejski Gentile, nadzianą na pal głowę ludzką w stanie już zupełnego rozkładu, a obok niej karteczkę z temi słowy, nakreślonemi ołówkiem:

„Pewien pan, który pragnie pozostać nieznanym, chciał uwolnić Sycylię od Varsalony. Zaprosił go przeto na polowanie i tam powalił wystrzałem ze strzelby. Dokonawszy tego, odciął zabitemu głowę, a tułów rzucił w przepaść.“

Wiadomość o odkryciu powyższem wywarła w Sycylii wrażenie nadzwyczajne, Varsalona bowiem był bryganten, którego nazwisko słynęło daleko poza granicami kraju.

Gentile zawiadomił natychmiast władze o znalezieniu smatnego trofeum, ale źle wyszedł na tem, aresztowano go bowiem w przypuszczeniu, że pragnie na fałszywy trop wprowadzić żandarmeryę. Zdaje się wszelako, iż Gentile Bogu ducha winien i że głowa istotnie do Varsalony należała, teściowa bowiem rozbójnika, dwie córki jego i kochanka poznały ją, pomimo rozkładu, po znakach szczególnych na czole, szczęce i brodzie.

Za tem, że słynny rozbójnik już nie żyje, przemawia również okoliczność następująca:

Przed kilku tygodniami odbywał się w Girgenti proces przeciwko kilku zwolennikom Varsalony. Otóż, powszechne zdziwienie wywołały zeznania kilku świadków obciążających, którzy śmiało i otwarcie winę rozbójnika udowadniali, aczkolwiek wiadomem było powszechnie, że każdy ze świadków, w poprzednich procesach przeciwko Varsalonie świadczących, poległ z ręki mściwego łotra. Teraz dopiero zrozumiałą staje się odwaga owych świadków z ostatniego procesu. Musieli oni wiedzieć już wówczas o śmierci Varsalony.

Za głowę bandyty wyznaczył swojego czasu rząd włoski 5.000 lirów nagrody. Drugie tyle ofiarował baron Agnello, któremu rozbójnik dał się porządnie we znaki. Wobec tego zdaje się niezrozumiałą pozornie tajemnica, jaką okrył się sprawca śmierci Varsalony. Wszak mógłby był zwłoki bandyty do najbliższego urzędu dostarczyć i otrzymać za nie pokaźną sumę 10.000 lirów.

Tak, ale w Sycylii panuje dotychczas wszechwładnie „vendetta“, krwawe prawo odwetu, Varsalona zaś posiadał liczną rodzinę i przyjaciół, zabójca więc jego nie uszedłby zemsty okropnej.

Jak z powyższego widać, nie ulega już prawie wątpliwości, iż na polach barona Agnello znaleziono rzeczywiście głowę niebezpiecznego łotra, tyranizującego od lat niemal dziesięciu Sycylię, za przykładem poprzednika swojego, Mussolina.

Na podobieństwo Musolina, Varsalona zaczął zawód rozbójnika od „vendetty“ na rzeczywistych, czy urojonych wrogach swoich. Popełniwszy kilka zabójstw, uciekł przed ręką sprawiedliwości i od tego czasu włóczył się ze wsi do wsi, z miasta do miasta, sze-

rząc postrach odwagą, przebiegłością i niesłychanem zuchwalstwem w tępieniu tych wszystkich, którzy na niego nastawali.

Nie miał on właściwej bandy rozbójniczej, za to jednak licznych zwolenników w sferach t. zw. lepszego towarzystwa sycylijskiego; zwolenników posłusznych mu ślepo, czy to ze strachu, czy to dla korzyści materyalnych.

Dopiero od roku zaczęło się rozbójnikowi powodzić mniej szczęśliwie, żandarmerya bowiem tropiła go bez wytchnienia. W końcu zmuszony był szukać schroniska śród niedostępnych urwisk Castronuovo, gdzie też według wszelkiego prawdopodobieństwa śmierć znalazł.

Śród ludu sycylijskiego potworzyły się o nim istne legendy. Między innemi opowiadają, że przed laty już Varsalona przeniósł się na stały pobyt do Ameryki południowej i że tylko od czasu do czasu zjawia się, jak widmo, w stronach rodzinnych, aby karać nieprzyjaciół i ograbiać bogaczów.



Japoński sztych:
Matka z dzieckiem. Im lepsza matka, tem częściej myje swoje dziecko.

Z KRAJU.

Grybów, 20 maja. (*Ucieczka uwięzionych wołów.*) We wsi Banicy w pow. grybowskim wachmistrz żandarmeryi, Józef Rejman, patrolując, ujrzał całą szajkę pędzących przez las bydło z granicy węgierskiej. Ponieważ z powodu panującej na Węgrzech zarazy bydlęcej niewolno przeprowadzać bydła do Galicyi, chciał przytrzymać bydło wraz z pędzącymi je. Ci jednak, spostrzegłszy go, uciekli, a za nimi uciekało bydło tak, że żandarm ujął tylko dwa woły i oddał pod dozór wójtowi Stawiskiemu w Banicy.

Wójt tak ich pilnował, że zaraz na drugi dzień miały uciec napowrót do Węgier czy też właściciele, których dotąd nie wyśledzono, mieli je wykraść, a nikt nie chce się do nich przyznać. Żandarmowi zdawało się, że między szajką pędzących bydło z Węgier, byli także dwaj włościanie z Banicy Michał Kowalski i Jędrzej Karapczak, którzy wówczas również szli z jarmarku z Bardyowa i wskutek tego ci dwaj zasiedli na ławie oskarżonych przed trybunałem w Nowym Sączu, pod przew. radcy p. Sitowskiego.

Oskarżenie wnosił prokurator p. Wyrobek, oskarżonych bronił adw. dr Sichrawa. Trybunał uwolnił oskarżonych w zupełności od wszelkiej odpowiedzialności. Wójt w Banicy dla braku poszkodowanych nie zapłaci za woły, które miały uciec, czy też zostały skradzione.

Złodziejowi czci i publicznego grosza

p. Bronisławowi Laskownickiemu, redaktorowi „Wieku Nowego" i sekretarzowi Tow. Dziennikarzy Polskich.

W toku procesu, który dnia 19 kwietnia w Krakowie zakończył się sromotną kompromitacyą „honoru" p. B. Laskownickiego — powodowałem się litością względem tego człowieka. Zadowoliłem się wyrzuceniem bazesowca z Krakowa, nie chciałem go zupełnie gubić w opinii, nie chciałem wspomnieć o jego dawniejszych nikczemnościach.

Pan Laskownicki nie umiał ocenić mej litości i pozwala sobie wciąż w swoim lwowskim świstku na niesłychanie przewrotne napaści przeciw osobie podpisanego.

Oświadczam panu Laskownickiemu, że napaści jego zgoła obrazić mnie nie mogą, gdyż **notoryczny złodziej grosza publicznego** obrazić nikogo nie może. Pan Laskowniki przed kilku laty **zdefraudował znaczną kwotę z funduszów „Czytelni Akademickiej" we Lwowie i był i jest przez kilka wydziałów tejże Czytelni za defraudanta uważany.**

Komunikuję ten fakt „Towarzystwu Dziennikarzy Polskich" i wzywam je, aby w imię honoru dziennikarstwa polskiego wykluczyło złodzieja grosza publicznego ze swego grona.

Ludwik Szczepański.

Co słychać w mieście?

Kraków, dnia 22-go maja.

KALENDARZ.

Dziś w niedzielę Zesłanie Ducha św. — Jutro w poniedziałek Andrzeja. — Pojutrze we wtorek N. Maryi Panny.

Wschód słońca 22 b m. o godz. 4 min. 20 — zachód o godz. 7 min. 34 — długość dnia godzin 15 min. 14.

Niedziela.

Teatr. W miejskim: o godz. 3-ej po południu: „Kościuszko pod Racławicami", obraz historyczny w 7 odsłonach A. W. Lassoty; — wieczór o godzinie w pół do 8-mej: „Flirt", kom. w 4 aktach M. Bałuckiego.

W letnim: w parku krakowskim: „12 żon Jafeta", wodewil w 3 aktach Marsa i Desvalliersa o godz. wpół do 8 wieczór.

Zgromadzenia. W auli uniwersytetu walne zgromadzenie Tow. naucz. szkół wyższych o godz. 10 rano i o 4 po poł.

Poniedziałek.

Teatr. W miejskim: o godz. 3-ej po południu: „Kopciuszek, widowisko fantastyczne w 6 obrazach A. Walewskiego; — wieczór o godz. w pół do 8-ej: „Lilla Weneda", tragedya w 5 aktach i 13 obrazach Juliusza Słowackiego.

W letnim, w parku krakowskim: „12 żon Jafeta", wodewil w 3 aktach Marsa i Desvalliersa, o godz. wpół do ósmej wieczór.

Zgromadzenia: W auli uniwersytetu walne zgromadzenie Tow. nauczycieli szkół wyższych o godz. 11 rano.

Festyny. W parku dra Jordana festyn na dochód „Czerwonego Krzyża", o godzinie 2-ej po południu.

Z powodu uroczystych dni Zielonych świąt, następny numer „Nowin" wyjdzie dopiero we środę z rana o godz. 8 mej. We wtorek natomiast wyjdzie „Kuryer Krakowski", zawierający najświeższe wiadomości z pola wojny i obfitą kronikę poświąteczną.

Taniec derwiszów. W ciasnych stosunkach społecznych, jakie u nas panują, myśl polityczna bardzo łatwo ulega zwyrodnieniu, rzekome „stronnictwo" łatwo przetwarza się w cuchnącą klikę.... Działanie tego prawa socyologicznego obserwować można najlepiej na drobnej ale krzykliwej „partyi" socyalno-demokratycznej. Nie przedstawia ona u nas dzisiaj żadnej idei, jest bezduszną, zwyrodniałą kopią ruchu zagranicznego, nie tworzy stronnictwa, lecz szajkę oszustów, spółkę komandytową najpodlejszych międzynarodowych krzykaczy, dla rozboju społecznego robiących w socyaliźmie w ten sam sposób, jak się „robi" w handlu gęsiami lub jajami, byle geszeft szedł, byle się miało grosz, posady w Kasie chorych i mandaty.

I jeszcze jedno socyologiczne zjawisko zaznacza się wtedy zawsze w pocieszny sposób. Oto im bardziej wyrodnieje taka klika, im bardziej słabnie jej wpływ i znaczenie, im nikczemniejszą jest w jej szeregach korupcya umysłowa i moralna: tem więcej krzyku czynią jej przywódcy, tem jaskrawiej zaznacza się u nich jakiś szczególny obłęd wielkości. Swoim własnym krzykiem zahipnotyzowani tracą zupełnie zmysł i miarę rzeczywistości — i kto widział kiedykolwiek taniec kręcących się w kółko, spienionych w obłędnym szale derwiszów tureckich, też samo wrażenie odnosi, patrząc na sforę reprezentantów t. zw. partyi socyalno-demokratycznej na gruncie krakowskim. Pocieszny to widok i przykry zarazem. Aż dziwno, że tyle korupcyi, tyle zarozumiałości i tyle megalomanii znajduje się w tak drobnem gronie!

Uwagi powyższe nasunęły się nam z okazyi „wściekłych" ataków organu tej rzekomej „partyi" socyalno-dem. na „Nowiny" i redaktorów „Nowin". Biedny „Naprzód"! Zapewne te szmatławe internacyonalne szmoki, zatrudnione w tem niby robotniczem pisemku, z szlachetnym kawalerem Daszyńskim na czele — wyją z radości, sądząc, że nadzwyczajnego dokonali dzieła. Biedny „Naprzód"! Czyż smutny koniec „Wieku Nowego" w Krakowie nie daje mu nic do myślenia?

Patrząc na wściekłe podrygi ogłupiałych międzynarodowych szubrawców — bawimy się znakomicie. Tylko tak dalej — a tem prędszy nastąpi koniec. Dziwnem tylko jest, że jeszcze są ludzie, którzy tę szajkę uważają za „niebezpieczną"! Cóż znaczy krzyk kilku szubrawców? któż się z nimi liczy? Tylko niedołęstwo nasze i brak organizacyi pozwala garstce hołoty odgrywać pewną rolę polityczną. — Jedno zakrzątnięcie się energiczniejsze, a nikczemni geszefciarze, wyzyskujący lud — runą napowrót w błoto.

Z dniem każdym partya socyalno dem. traci u nas coraz bardziej grunt pod nogami — dlatego, że stała się kliką i nie reprezentuje nic prócz oszustwa społeczno-ge

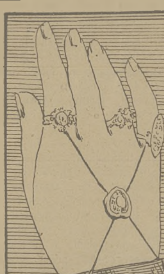
szefciarskiego. Jej przywódcy sami jej grób kopią. Śmiech zbiera, gdy się ogarnie spojrzeniem tę spółkę wydrwigroszy.

Nie możemy, pisząc o tych panach — spadać do poziomu „Naprzodu“, nie będziemy zagłębiać się w życie prywatne pewnych przywódców.... Któż to odważa się mówić o korupcyi? Taki pan Daszyński, *chevalier sans peur et reproche*, przyjaciel złodzieja Kłosowskiego, zawdzięczający skradzionym pieniądzom w znacznej części swój wybór, druh kryminalisty Machaufa, ściganego listami gończymi, kamrat złodzieja Żelaszkiewicza, kolega redakcyjny Pilawskiego? Czy p. Czaczkies, wabiący się „Czakim“, korespondent pism hakatystycznych, „wydawca“ pornograficznego „Liberum Veto“, który dopuszczał się oszustw bez liku na biednych rękodzielnikach i tylko dzięki ich litości nie dostał się przed kratki sądowe? Czy taki p. Haecker, który za pieniądze Kasy chorych robi z familią ekskursye do Zakopanego? Czy może „heski“ Baruch Hescheles, nazwany publicznie w sali sądowej „szubrawcem“, „kloaką“, „zakałą stanu adwokackiego“, (na co w sądzie ofiarowano dowód prawdy!) i chowający te obelgi z cynicznym uśmiechem do kieszeni? Czy może pewni panowie z Kasy chorych, dający tam w letniej porze posady damom, cieszącym się ich względami?

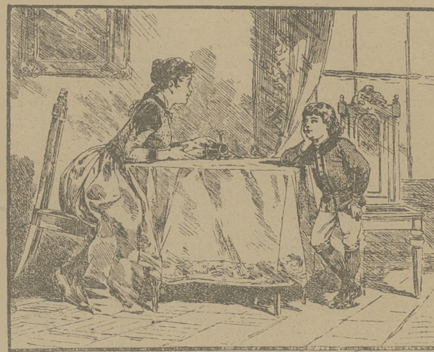
I to jest cała tak zwana „partya“!

Chłystki, obce pochodzeniem, cyniczne w gieszefciarskiej przewrotności łapiduchy i nad niemi zaślepiony, najnikczemniejszych środków w walce chwytający się, od subwencyj niemieckich zależny, oberpajac: to cała klika, zwana partyą. Rzesza robotników polskich, która nie mając poprzednio energicznego obrońcy, szeregowała się dokoła nich — dzisiaj zrażona i rozczarowana przerzedza się coraz bardziej. Koniec będzie żałosny przy przyszłych wyborach.

Nie należy jednak idei identyfikować z ludźmi. O dobrych i złych stronach ruchu socyalnego pomówimy na innem miejscu.



Najnowszy sposób zdobienia ręki, zrodzony w Paryżu zaczyna rozpowszechniać się po Europie, ku uciesze próżnych i pięknych pań, no i... jubilerów. Ozdoba ta składa się z pięknie oprawionego brylantu, który przykrywają łańcuszki, łączące się bransoletą i dwoma pierścionkami. Cacko takie kosztuje najmniej 700 franków.



Mamusia: — Z czego się robi lokomotywa?

Synek: — Z żelaza.

Mamusia: — Doskonale! A ty z czegobyś ją zrobił?

Synek: — Ja, z czekolady, bo bym ją zaraz zjadł.

Mamusia: — Cudownie! A czem się lokomotywa opala?

Synek: — Węglem.

Mamusia: — Znakomicie! A ty czembyś ją opalał?

Synek: — Ja, książkami, żeby się nie uczyć.

Mamusia: — Będzie z ciebie genialny wynalazca!

Repertuar operetki lwowskiej zapowiada cały szereg nowości, które budzą ogólne zainteresowanie.

Zwolennicy melodyjnej muzyki i wspaniałych wystaw powitają z radością ukazanie się na naszej scenie „Pięknej Heleny“ z p. Porecką w tytułowej roli, „Pięknej z Nowego Yorku“, z p. Milowską, oraz będących na czasie japońskich operetek z krainy złocieni i wschodzącego słońca, a mianowicie „Gejszy“, „San Toya“ i „Mikada“.

„Piękna Helena“ może uchodzić tu za nowość, z tego względu, że wystawioną zostanie w niezmiernie bogatej oprawie scenicznej, na którą składają się stylowe dekoracye, kostyumy, sporządzone według wzorów z teatru „Opera Comique“ w Paryżu, oraz cały szereg nowości, wprowadzonych przez obecną dyrekcyę.

Z nieznanych dotąd w Krakowie operetek zapowiada repertuar „Słodką dziewczynę“, graną we Lwowie od dwóch lat z niezmiernem powodzeniem, „Druciarza“, „Wesołego Inwalidę“, „Klejnocik“, „Madame Scherry“, „Pan Chouffeuri przyjmuje“, „Posłaniec nr. 6.666“, „Figle wiosenne“, „Bandytów“, „Lisistratę“, „Dziecko przekupki“, „Wenecyę w Paryżu“, a atrakcyą sezonu staną się zapewne ucieszny „Świat na opak“ Kapellera i „Cavalleria Cracoviana“, parodya muzyczna „Rycerskości wieśniaczej“, zastosowana nader zręcznie do miejscowych stosunków krakowskich.

W Czytelni akademickiej można codziennie od godz. 4—5 popołudniu nabywać bilety na loteryę fantową, z której dochód przeznaczony na fundusz stypendyjny dla biednych uczniów gimnazyum cieszyńskiego. Cel mówi sam za siebie.

Wieczór humorystyczny We czwartek, d. 26 maja br., odbędzie się w sali Teatru ludowego wieczorek humorystyczny znanego monologisty, p. Gustawa Fiszera, z nowym programem.

Sprawa Orłowskiego. Wczoraj nadeszło do Krakowa orzeczenie najw. trybynału, rozstrzygające kwestyę co do właściwości sądu w sprawie uwięzionego dra J. Orłowskiego. Najw. trybunał rozstrzygnął na rzecz sądu wiedeńskiego. Orłowski po świętach przewieziony zostanie do Wiednia.

Zbrodnia na Podgórzu. Dziesięciomiesięczne dziecko nieszczęśliwych Kleszczów, ranione przez zbrodniarza siekierą w główkę, ma się już zupełnie dobrze i może być z opieki szpitalnej wypuszczone. Kleszczowa również szybko powraca do zdrowia.

Otwarcie testamentu śp. ks. Juliana Bukowskiego. Wczoraj o godz. $11^1/_2$ przed południem nastąpiło otwarcie testamentu śp. ks. prałata Bukowskiego w kancelaryi notaryusza p. W. Adamskiego, w obecności sekretarza magistratu p. Kubalskiego. Śp. ks. J. Bukowski poczynił w testamencie następujące zapisy na cele publiczne:

Zgromadzeniu sióstr Nazaretanek 10.000 koron.

Arcybractwu Miłosierdzia w Krakowie na fundusz jałmużniany, ochronkom krakowskim, tudzież zakładowi im. św. Jadwigi dla opuszczonych dziewcząt po 1000 kor., razem 3000 kor.

OO. Bonifratrom i OO. Salezyanom w Miejscu Piastowem po 1000 kor. razem 2000 kor. Małemu seminaryum duchownemu ks. kardynała Puzyny oraz klasztorowi PP. Duchaczek przy kościele św. Tomasza po 1000 kor., razem 2000 kor.

PP. Felicyankom w Krakowie, PP. Wizytkom, PP. Dominikankom, PP Augustyankom i PP. Prezentkom przy kościele św. Jana po 500 kor., łącznie 2500 kor.

Bractwu św. Anny przy kościele św. Anny w Krakowie 500 kor. Na utworzenie, względnie pomnożenie kasy zapomogowej na stały fundusz dla najbiedniejszych, a z prawem członków przy stow. „Przyjaźń krakowska“ 500 kor. Piękną zaś swoją bibliotekę teologiczną ofiarował zmarły seminaryum dyecezyalnemu.

Wycieczka uczniów ze Lwowa. Wczoraj rano o godz. 6 przybyli do Krakowa celem zwiedzenia naszego miasta i pamiątek narodowych, uczniowie gimnazyum IV. ze Lwowa z prof. p. Janem Pietrzyckim. Na przywitanie przybywających gości przyszli uczniowie gimnazyum św. Anny z własną orkiestrą. Z dworca kolejowego odprowadzili uczniowie gimnazyum św. Anny przy dźwiękach muzyki swoich kolegów ze Lwowa na kwaterę przy ul. Karmelickiej.

Wycieczki włościańskie przybyły wczoraj

do Krakowa ze Śląska, Wielkopolski i innych krajów polskich. Tow. szkoły ludowej zajęło się oprowadzaniem tych włościan po Krakowie celem zwiedzenia pamiątek narodowych.

Z cechu szewców. Cech szewców w Krakowie obchodzi w tym roku stuletnią rocznicę połączenia się z cechami szewców na Kaźmierzu i Kleparzu, istniejącemi do roku 1804 osobno. Z powodu tego jubileuszu starszyzna cechu zarządziła gruntowną lustracyę archiwum cechowego. Lustracya wydała bardzo dobre rezultaty. Przekonano się bowiem, że archiwum cechu, istniejącego od lat blisko 600 w Krakowie zawiera wiele cennych zabytków z przeszłości.

I tak znaleziono tam jedenaście przywilejów pergaminowych z podpisami i pieczęciami królów polskich od Zygmunta I z roku 1524, aż do króla Jana; 9 przywilejów pergaminowych do r. 1750, oprawnych w księgę i wiele dokumentów, wydanych przez królów, biskupów, burmistrzów krakowskich i Radę miasta; srebrną pieczęć cechową z r. 1468, starożytny obraz św. Kryspina i Kryspiniana, patronów cechu, z r. 1549, wreszcie relikwiarz z głową św. Kryspina, oprawiony nakładem cechu z roku 1774, a wykonany przez złotnika Dominika Chełpińskiego, któremu cech, oprócz dodania złota i srebra, zapłacił za robotę 542 złp., dwa berła, czyli buzdygany srebrne, oznaki godności starszego i podstarszego, ofiarowane majstrom krakowskim przez Jana III; kilka pamiątkowych medali, między nimi medal Unii Brzeskiej i dwie tak zwane „cechy“ mosiężne z r. 1641 i 1658. Zachowane księgi cechowe sięgają roku 1600; oprócz księgi cechu krakowskiego z tego czasu jest księga z r. 1680 byłego osobnego cechu szewskiego miasta Kleparza.

Połączenie cechów szewskich kazimierskiego, krakowskiego, a także kleparskiego, odbyło się za prezydentury ówczesnego burmistrza krakowskiego Filipa Nereusza Lichockiego. Wtedy też nastąpiło połączenie innych także cechów z Kleparza i Kaźmierza, we wspólne związki, trwające do dziś dnia. Nie obeszło się bez oporu, gdyż zamożne cechy kleparskie i kaźmierskie nie chciały oddać majątków swych do wspólnej skrzyni cechowej

Grono cechmistrzów starych cechów krakowskich zawiązało się onegdaj w komitet, który ma się zająć urządzeniem uroczystego obchodu jubileuszu 100-letniego połączenia.

Z księgi głupoty ludzkiej. Głupich ludzi na świecie nie brak, a jak wiadomo na głupotę niema lekarstwa. Wiedział o tem dobrze Schaja Wolff Löffler i dlatego postanowił na tem zrobić doskonały interes. Anonsował się więc od dłuższego czasu w dziennikach niemieckich, że ma wielki skład obuwia w najlepszym gatunku (*ein prächtiges Schuhexport*), w którym można dostać za 3 marki 90 fen. cztery pary sznurowanych bucików z trwałej skóry. Ilu ludzi zgłosiło się z zamówieniem tych czterech par sznurowanych bucików z trwałej skóry za 3·90 m., tego nie wiadomo. Dość na tem, że we czwartek zawezwano Löfflera na inspekcyę policyjną, gdzie przyszedł list od jednego z obdarzonych przez naturę wielką dozą głupoty, ze skargą na Löfflera. — W liście pisał ów poczciwiec, że Loffler oszukał go, ponieważ za 3 mrk. 90 fen. przysłał mu zamiast 4 par sznurowanych.. i t. d. bucików, jedynie tylko pantofle szmaciane o podeszwach tekturowych, których numera nie zgadzają się zupełnie z zamówionymi przez niego. Na policyi spisano z Löfflerem protokół i sprawę oddano sądowi. Jak się pokazało, Loffler nie posia żadnego handlu obuwia, a tylko skupuje (handelesów pantofle i stare buciki.

Z oniki policyjnej. Za kradzież dwóch chu wartości 16 koron na szkodę kramarza Jana Ćwierka na Skałce, aresztowano niejaką Teklę Zielińską.

To ci dopiero Jacek! Przed kilku dniami doniósł do tut. policyi p. Włodzimierz Tetmajer z Bronowic, że po Krakowie włóczy się niejaki Jacek Sikora, 25-letni wyrobnik, wysokiego wzrostu, ubrany czasem po wiejsku w czerwony kaftan, czasem po miejsku, który podając się za jego parobka, wyłudza od ludzi pieniądze. Wskutek tego doniesienia przyaresztowała policya Jacka i jak dochodzenie wykazało, Jacek Sikora nie jest sobie ot takim zwykłym Jackiem z Bronowic, ale sprytnym oszustem. Przed kilku dniami przyszedł Jacek, srodze zapłakany, z batem w ręku, do sklepiku Józefa Leśniaka przy ul. Podwale 1 i przedstawiwszy się mu jako szwagier pp. Tetmajera i Rydla z Bronowic, począł okrutnie lamentować przed Leśniakiem, „co babie jego się zmarło, a taka była dobra, choć czasem nie żałowała ręki, aby go ustatkować“. Następnie począł Leśniakowi z płaczem opowiadać, że ma gospodarstwo na 14 morgach, dwie szkapy, jak się patrzy, cztery paśne krowy i inszą gadzinę. Przyprowadził też ze sobą jakiegoś niby ojca chrzestnego i pastucha od krów paśnych, którzy zaświadczyli, że Jacek prawdę w każdem słowie powiedział. Ulitował się Leśniak nad tem nieszczęściem Jacka i dał mu 25 zlr. na trumnę dla zmarłej żony. Ponieważ jednak Leśniak nie dowierzał Jackowi, więc poszedł z nim do zakładu pogrzebowego przy ul. Kopernika, gdzie Jacek wybrał ładną trumnę i poduszkę pod głowę, spłakał się jak bóbr i zapłacił 25 zlr. za trumnę. Towarzysze Jacka zabrali trumnę na ramiona, aby ją zanieść na Kleparz na wóz Jacka. Tymczasem strapiony Jacek poszedł z Leśniakiem na jedną kolejkę, potem na drugą i przy tej sposobności wyłudził na księdza i światło od Leśniaka drugie 25 zlr. Gdy Jacek pożegnał Leśniaka, aby zająć się dalszemi przygotowaniami do pogrzebu, wyszukał swego „ojca chrzestnego“ i pastucha od krów paśnych i wrócił z trumną do zakładu pogrzebowego, w którym przed godziną zakupił trumnę. Tutaj przeprosił właściciela owego zakładu pogrzebowego, że mu trumnę zwraca, bo już rodzina postarała się o trumnę, a przecież w dwóch trumnach żony nie pochowa. Tem przedstawieniem rzeczy zyskał Jacek to, że ów właściciel zakładu pogrzebowego zwrócił Jackowi zapłaconą za trumnę kwotę. W jakiś czas udał się Jacek do Leśniaka i oświadczył mu, że bez żony żyć nie może, „bo by mu się chudoba zmarnowała i dlatego ożenić się musi, a ponieważ Leśniak ma właśnie córkę, więc Jacek oświadczył gotowość wzięcia jej za żonę. Jako posag żądał 200 zlr. z tem, że Leśniak może sobie potrącić te 50 zlr., które mu dał na pogrzeb jego nieboszczki żony. Wydawało się to wszystko nieco podejrzanem Leśniakowi i dlatego poszedł z bezczelnym Jackiem do jednego z adwokatów tutejszych, aby ten zbadał w sądzie hipotekę gospodarstwa Jacka. Adwokat poszedł do sądu i wrócił z niczem, bo żadnego gospodarstwa w księdze hipotecznej dla gminy Bronowice nie znalazł, lecz Jacek twierdził, że adwokat nie umie szukać, „bo przecież 14 morgów, 2 konie, 4 paśne krowy i cała gadzina, to nie ziarnko, co się może gdzieś zapodzieć“. Gdy jednak Jacka aresztowano za inne jeszcze sprawki, poznał dopiero Leśniak, że padł ofiarą oszusta. Jacek oprócz Leśniaka ponaciągał jeszcze wiele innych osób i tak: od kasyerki w Tow. sztuk pięknych wziął 5 koron, od stróża w tem samem Towarzystwie 3 kor., przedstawiając mu się, jako parobek p. Włodzimierza Tetmajera, od p. Kondolewicza 3 koron i t. d. Pomysłowy Jacek za te sprawki wkrótce stanie przed sądem karnym.

Żołnierz bez powołania. Mikołaj Kowalik odbywał właśnie jednomiesięczne ćwiczenia wojskowe. Zaledwo jednak spędził kilka dni w koszarach, uciekł i ubranie wojskowe na tandecie sprzedał. Gdy zaś usiłował sprzedać kuplę jakiemuś handełesowi za 12 centów, został przyaresztowany. Przy rewizyi znaleziono przy nim bagnet, którego Kowalik miał zamiar używać jako scyzoryka. Pytany w policyi, dlaczego zdezerterował, oświadczył Kowalik, że mu było w koszarach nie dobrze. Kowalik będzie karany za dezercyę.

Wojna rosyjsko-japońska.

W Niuczwang.

Niuczwang. Z fortów usunięto ciężkie działa i jak słychać przewieziono do Hajczengu. Polna artylerya przybyła tu dzisiaj. Rosyanie zapewniają, że za kilka dni będą mieli w Niuczwangu 3000 wojska. Japończycy są panami kolei żelaznej na południe od Wafantian. Rosyjskie oddziały pomiędzy Niuczwangiem a Wafantien są jedynie drobnymi patrolami. Prawie wszystkie połączenia telegraficzne wzdłuż linii kolejowej są przerwane. Połączenie wojskowego telegrafu pomiędzy Niuczwangiem a Portem Artura funkcyonuje jeszcze ale jak słychać Japończycy podchwytują depesze za pomocą aparatów indukcyjnych. Urodziny carę obchodzono tu uroczyście.

Katastrofa okrętu japońskiego pod Portem Artura.

Petersburg. Oficyalnie. Telegram admirała Aleksiejewa do wielkiego admirała, z daty wczorajszej, donosi: W nocy z dnia 19-go na 20 maja b. r. otrzymałem pocztą następujące sprawozdanie kontradmirała Withoefta: Dnia 15 maja rano zjawiły się trzy nieprzyjacielskie pancerniki i trzy krążowniki ze wschodu. Ruchy ich spostrzeżono z Liatieszanu i ze Złotej Góry. W chwili, gdy okręty te zajęły stanowisko, które kazało wnosić, że chcą atakować Port Artura, dostrzeżono nagle eksplozyę pod okrętem „Fuji“. Pancernik ten przystanął na chwilę, a następnie pochylał się na prawo. — Spostrzeżono wiele wydobywającej się pary. Natychmiast zbliżyły się do niego dwa krążowniki. Pancernik odzyskał stopniowo równowagę i zdawało się, że nie doznał poważnego uszkodzenia.

W tej chwili zbliżył się do niego drugi pancernik typu „Szikiszima“. Nagle eksplodowała mina, w rodzaju tej, której ofiarą padł „Petropawłowsk“. Okręt zatonął w przeciągu minuty. Trzy pancerniki odjechały na otwarte morze. Krążowniki zostały na miejscu katastrofy. Wysłałem 16 torpedowców, aby niepokoiły nieprzyjaciela i zaatakowały go, gdyby się zdarzyła sposobność. „Nowik“ wyruszył, aby ewentualnie poprzeć torpedowce. W tej chwili zbliżyło się pięć japońskich krążowników i otworzyło ogień ze wszystkich ciężkich dział na nasze torpedowce, które powróciły; uszkodzony pancernik znikł następnie razem z krążownikami, które podczas opisanych wyżej zdarzeń przyłączyły się do eskadry. — W nocy panował silny wiatr.

Nad ranem d. 16 b. m. zbliżyły się do miejsca katastrofy trzy torpedowce przeciw którym wysłałem „Nowika“ — torpedowce oddaliły się. Okręt który w zatoce Keer wyleciał w powietrze był sądząc po wyglądzie kominów krążownikiem. Miał on widocznie zamiar wysadzić na ląd oddział wojska. Trzy torpedowce które popierały też akcyę zostały przez ogień straży nadbrzeżnej uszkodzone.

Lwów. P. Maciesza został na dzisiejszej rozprawie uwolniony i wypuszczony.

Udało mu się!...

Humoreska.

Nie mam prawa powątpiewać o prawdziwości opisanego niżej wypadku, bo mi go opowiadał sam Matusiewicz, a on przecie nie grzeszy zbyt bujną wyobraźnią i nie może być twórcą wymysłu. Jest on literatem i pisuje powieści, ale co do mnie, nie zdobyłem się nigdy na przeczytanie bodaj jednej od deski do deski.

Pewnego razu rozgadaliśmy się o zamiłowaniu Amerykan do oszczędzania czasu. Matusiewicz uśmiechnął się posępnie i opowiedział mi następującą przygodę:

— Wiem ja o tem dobrze. Jeden z moich przyjaciół przywiózł mi z Chicago bilet z wydrukowanym napisem: *„Jestem głuchoniemy"*, i zapewnił mnie, że w Chicago, jeśli kto zechce w tramwaju lub w wagonie zawiązać rozmowę z sąsiadem, to w dziewięciu wypadkach na dziesięć nagabywany pokaże mu w odpowiedzi taką kartkę, delikatnie dając zrozumieć, że życzy sobie mieć spokój.

Nazajutrz, na Zielone Święta, wybierałem się do Tarnowa, odwiedzić Kapturkiewicza; postanowiłem więc wziąć z sobą kartkę, na której skreśliłem owe magiczne słowa. Gdyby ktokolwiek podczas podróży chciał zacząć zemną rozmowę i oderwać od gazety, to byłem zdecydowany udać się do pomocy kartki. Myśl ta bardzo mi się podobała. Jednakże jaki to zmyślny naród ci Amerykanie! Podobny środek przerywania w samym zarodku niepożądanej rozmowy zdawał mi się najdowcipniejszym i najodpowiedniejszym.

Otóż na dworcu w Krakowie kupiłem sobie bilet drugiej klasy. W przedziale wagonu nie było nikogo. W ostatniej chwili, kiedy pociąg miał już ruszyć, do przedziału wpadła pospiesznie jakaś dama; było widocznem, że o mało się nie spóźniła.

Towarzyszka podróży była dość ładną kobietką, lat trzydziestu. Od gorąca i wzruszenia, spowodowanego obawą spóźnienia się, na twarz jej wystąpiły silne rumieńce, i ja wyraźnie zauważyłem, że ona ma chęć wyspowiadać się przed kimkolwiek ze swego oburzenia na upał i na głupotę dorożkarzy. Jeśli kobiecie w czasie podróży zdarzy się jakaś nieprzyjemność, to doznaje ona konieczności podzielenia się swemi uwagami z pierwszym lepszym. Spostrzegłem więc, że dama ma chęć zwrócić się do mnie i obawiałem się tego.

Dama zauważyła moje trwożliwe spojrzenie i przemówiła:

— Przepraszam, czy nie mógłbyś mi pan powiedzieć dokładnie, która teraz godzina? Dorożkarz wiózł mnie zbyt długo z Zwierzyńca do dworca i jestem pewna, że był pijany i błądził w drodze. Co za męczarnia z tymi dorożkarzami, zwłaszcza dla kobiet! Kilka dni temu moja przyjaciółka...

Ale w tej chwili podałem mojej współpasażerce bilet, który dostałem od przyjaciela.

Dama przeczytała i zawołała:

— Ach, jaka szkoda! Proszę mi wybaczyć!

I pogrążyła się w milczeniu z widocznym żalem.

Wziąłem się znów do gazety, błogosławiąc pomysłowość Amerykan.

W tem w Podgórzu weszła do wagonu druga pasażerka, młoda panna, na którą moja towarzyszka podróży widocznie oczekiwała, bo od chwili, gdy pociąg zwolnił bieg, wychyliła się przez okno i machała chustką. Damy, jak to zwykle bywa, pocałowawszy się kilkakrotnie, przystąpiły do wzajemnych wynurzeń. Z początku młodsza mówiła półgłosem, obawiając się widocznie, żebym nie podsłuchał rozmowy, ale starsza głośno ją uspokoiła:

— O! nie zwracaj na niego uwagi. On głuchy, jak cietrzew, i w dodatku niemy, możemy więc rozmawiać swobodnie, jak w domu.

Nowoprzybyła z ciekawością spojrzała na mnie, i obie zaczęły głośną rozmowę, tyczącą się takich przedmiotów, o których zapewne nie zdecydowałyby się mówić w obecności mężczyzny z normalnym słuchem. Nie wiadomo do czego doszłaby ta poufna pogawędka, prowadzona pod opieką mojego mniemanego kalectwa. Znalazłem się więc w położeniu mimowolnego szpiega i w dodatku byłem pozbawiony możności wyjścia z tego przykrego położenia. Powiedzieć im, że doskonale słyszę ich rozmowę? Ale co one wtedy pomyślą o mojem poprzedniem kłamstwie? Oczywiście wezmą mnie za waryata, lub zbrodniarza! W każdym razie położenie nie do pozazdroszczenia! Młodsza towarzyszka podróży była tak ładna, tak wytworna i powabna, że doprawdy nie miałbym odwagi oburzyć ją wyznaniem: „Nie jestem głuchoniemy, moje panie, i słyszę waszą rozmowę od słowa do słowa".

Nie, stanowczo nie mogłem tego zrobić; nie pozostało więc nic innego, jak tylko popróbować nie słuchać i zagłębiać się w czytaniu gazety.

Jednakże pomimo szczerej chęci i usiłowań, uwagę moją zwróciło na siebie moje własne nazwisko, wymówione przez starszą panią.

— Musiałam koniecznie dzisiaj wrócić, bo mąż zaprosił do nas tego nieznośnego Matusiewicza i rozumie się, ani słyszeć nie chciał o tem, żebym pozostała dłużej w Krakowie!

— A ty skąd wiesz, ciociu, że on nieznośny, jeśli go nigdy nie widziałaś? — zapytała panna.

— Wiem o tem, naprzód dlatego, że wszyscy przyjaciele męża są nieznośni i nudni. Czasami zdaje mi się, że on naumyślnie wybiera najgłupszych w świecie ludzi i zaprasza do nas, aby mi tylko zatruć życie. A powtóre próbowałam czytać powieści Matusiewicza i muszę wyznać, że dotychczas nic głupszego i więcej niedorzecznego nie spotykałam.

— A on młody czy stary? — zapytała panna.

— Doprawdy nie wiem. Jedno tylko mogę powiedzieć, że nie żonaty, bo napewno żadna kobieta nie zgodziłaby się połączyć na wieki z takim nudziarzem.

— A co mi dasz, ciociu, jeśli ja wybawię cię od niego przez cały czas jego pobytu u was? Ja gustuję w ludziach poważnych!

— Będę ci bardzo wdzięczną — odrzekła ciotka. — Doprawdy on nie mógł wybrać mniej odpowiedniego czasu dla swoich odwiedzin Tak chciałam jeszcze zabawić w Krakowie!

Okazało się więc, że jechałem w jednym przedziale z żoną Kapturkiewicza i jego siostrzenicą i że pierwsza narzekała na mój przyjazd, widząc we mnie nieznośną przeszkodę. Byłem ciekawy, coby ona powiedziała po przyjeździe do domu, przekonawszy się, że człowiek, który przedstawił się jej za głuchoniemego, jest tym samym niepożądanym gościem, i, w dodatku, wysłuchał jej uwagi o nim? Teraz rozumie się, nie mogłem już ani pokazać się w jej domu, ani jakimkolwiek sposobem dać się poznać. Trzeba wysiąść na następnej stacyi i telegrafować do Kapturkiewicza, że ważne okoliczności zmuszają mnie do odłożenia na jakiś czas wizyty i przyjemności poznania się z jego żoną. Ale co robić z walizką, którą oddałem do bagażu, do samego Tarnowa? Nie mogłem zostawić jej na wolę Opatrzności, bo tam był rękopis mojej nowej powieści, którą chciałem skończyć w tym tygodniu i zabrałem z sobą, mając zamiar w Tarnowie przez święta dopisać ostatnie rozdziały. Byłem więc zmuszony jechać do Tarnowa i tam odebrać walizkę, ryzykując nawet spotkać się z Kapturkiewiczem na dworcu. A pozbyć się mojej towarzyszki podróży i jej siostrzenicy mogłem przecież przesiadając na następnej stacyi do innego wagonu. Do Tarnowa jednak pozostawała jeszcze godzina drogi, postanowiłem więc uzbroić się w cierpliwość.

Damy nie przestawały rozmawiać, ale na moje szczęście zapomniały już o istnieniu nieznośnego Matusiewicza. Podczas dalszej rozmowy Kapturkiewiczowa, chcąc zwrócić uwagę siostrzenicy na jakieś budynki, podeszła do okna, około którego siedziałem. W tej chwili wskutek ruchu wagonu, straciła równowagę i o mało nie upadła mi na kolana.

— Ach ciociu! gdybyś widziała jak ten biedak przeląkł się! — zauważyła siostrzenica, gdy ciotka wróciła na swoje miejsce. — Widocznie pomyślał, że chcesz mu siąść na kolana!

— Proszę, jaki bojaźliwy! — zawołała ciotka. — Twarz jego bardzo mi się nie podoba. Głuchoniemi miewają zwykle obrzydliwy charakter. A jaki on brzydki? Nieprawda?

Co na to odrzekła siostrzenica, nie dosłyszałem, ale pani Kapturkiewiczowa, rzuciwszy na mnie jeszcze jedno spojrzenie, ciągnęła dalej:

— Ile przebiegłości zawierają w sobie rysy jego twarzy; zupełnie jak u zbrodniarza! Ja się nie boję, ale doprawdy nie dziwiłabym się, gdyby ten jegomość okazał się zdolnym ukraść cudzą walizkę, a potem usprawiedliwiać się prostą pomyłką.

Naraz starsza pasażerka rozpoczęła nerwowe i pospieszne poszukiwania portmonetki — poszukiwania, właściwe tylko podróżującym kobietom.

Po długich poszukiwaniach pani Kapturkiewiczowa znalazła nakoniec swoją kieszeń i z widocznym niepokojem oznajmiła, że portmonetki niema.

— Miałam wniej około 50 reńskich i bilet. Doskonale pamiętam, że portmonetka była w kieszeni, kiedy wchodziłam do wagonu!

— Może włożyłaś ją ciociu do sakwojaża? Albo do woreczka? — pytała siostrzenica.

Pani Kapturkiewiczowa nie zgodziła się z żadnem z tych przypuszczeń, ale poszukiwania we wszystkich kryjówkach do których portmonetka, tak czy inaczej mogła się dostać, nie doprowadziły do pożądanego skutku.

— Zginęła! — zawołała nakoniec. — Jestem pewna, że ten łotr wyciągnął mi ją z kieszeni, kiedy wyglądałam przez okno!

— Ależ to niemożebne! — odpowiedziała siostrzenica. — Patrzyłam wciąż na niego. Ani na chwilkę nie oderwał rąk ani oczu od gazety!

— Ech! co ty mówisz! Nie masz pojęcia do jakiego stopnia bystre i zręczne są ruchy tych profesyonalnych rzezimieszków. Portmonetkę on ukradł; jestem tego pewna i oznajmię o tem policyi na stacyi.

Było widocznem że muszę wyskoczyć z wagonu, jak tylko podjedziemy do stacyi, zanim rezolutna dama zdąży zawołać policyanta. Pociąg zwalniał już bieg, więc

zabrawszy pled i paraso skierowałem się ku drzwiom.

— Nie, nie, proszę poczekać mój przyjacielu! — zawołała pani Kapturkiewiczowa, zagradzając mi wyjście.

Położenie było okropne. Nie mogłem użyć siły i widziałem, że zajście z policyą mnie nie ominie. Ze spokojem rozpaczy siadłem napowrót i oczekiwałem przybycia żandarma, którego energiczna dama zapraszała do wagonu gestami i wołaniem.

— Ten jegomość ukradł mi portmonetkę — rzekła pani Kapturkiewiczowa, jak tylko policyant otworzył drzwi przedziału. — Proszę go obrewidować! Na portmonetce są wyciśnięte litery: „A. D. K", a wewnątrz były cztery dziesięciokoronowe bilety, trzy złote dwudziestokoronówki, trochę drobnych i bilet kolejowy!

— Co pan możesz powiedzieć na to oskarżenie! — zapytał, zwracając się do mnie żandarm, na którego widocznie podziałał stanowczy ton oskarżenia.

— Powiem tylko, że to nieprawda — odrzekłem. — Niemam najmniejszego pojęcia o portmonetce tej damy i mogę dać dowody, że jestem osobistością znaną i zasługującą na wiarę.

— Boże mój! — zawołała moja oskarżycielka. — Co to jest? Więc on nie głuchoniemy? Panie policyancie, on przez cały czas podróży udawał głuchoniemego! Już z tego jednego faktu można sądzić, jaki to musi być łotr!

— Proszę iść ze mną! — zwrócił się do mnie żandarm — i radzę bez wymówek spełnić moje żądanie, bo inaczej będzie źle! Pani raczy także pofatygować się ze mną; trzeba sporządzić protokół.

Wstałem już z miejsca, aby udać się za żandarmem, gdy wtem poczułem pod nogą jakiś przedmiot leżący na podłodze. Schyliłem się i podniosłem go. Była to zgubiona portmonetka.

— Czy to nie pani portmonetka? — zapytałem podając ją. — Zapewne upuściłaś ją pani na podłogę, wychylając się przez okno.

— Bajki! — zawołał żandarm. — Pan sam podrzuciłeś portmonetkę, widząc się złapanym na gorącym uczynku. Proszę bez ogródek iść za mną!

— Proszę poczekać! — wtrąciła siostrzenica. — Ciociu, jestem przekonana, że sama podchodząc do okna trzymałaś ją w ręku, a ponieważ miałaś ją w lewej ręce, więc ten pan w żaden sposób nie mógłby do niej się dostać.

— Czy pani jest tego pewna! — zapytał żandarm.

— Jestem głęboko przekonana. Ten pan wcale nie winien i niema go za co aresztować. Ciociu! powiedz-że sama, że się omyliłaś! Pomyśl, jak to okrutnie posądzać człowieka, nie będąc pewną jego winy!

Pani Kapturkiewiczowa otworzyła port. monetkę i przekonała się, że zawartość jej nie była naruszoną.

— Obawiam się, że to rzeczywiście pomyłka — zaczęła — i że ten pan nie winien. Chociaż sądzę, że....

— Bardzo dobrze! Więc pani nie oskarża go już o nic? — przerwał żandarm.

— Rozumie się, że nie! — zawołała z pośpiechem siostrzenica. — Proszę wybaczyć, żeśmy pana fatygowały.

Potem, zwracając się do mnie, dodała:

— Mamy nadzieję, że i pan raczy przebaczyć nam omyłkę?

Zdawało mi się, że wyraz: „omyłka" zbyt lekko określa wypadek, zważywszy wszystkie jego okoliczności. Ale nieoczekiwane wybawienie od grożącej mi nieprzyjemności i dzielna obrona młodego dziewczęcia, tak mnie ujęły, że prosiłem i przytem zupełnie szczerze, nie troszczyć się więcej o taką drobnostkę.

— Ale dlaczego ten pan oznajmił, że jest głuchoniemy? Chciałabym się tego dowiedzieć! — rzekła nieubłagana pani Kapturkiewiczowa.

— W każdym razie nie radzę temu panu na przyszłość, próbować podobnych żartów! — poważnie zawyrokował żandarm.—

Żandarm wyszedł; pociąg ruszył dalej. Stanęliśmy w Tarnowie.

Wyszedłem z wagonu, drżąc, że dostrzegłem Kapturkiewicza na peronie, ale on nie widział mnie ukrytego za sztorą. Wyczekałem chwili, kiedy on się odwrócił, wyskoczyłem z wagonu i wpadłem do bagażowego biura, znajdującego się właśnie naprzeciwko wagonu. Chciałem pozostać tam, dopóki Kapturkiewicz nie odejdzie, ale omyliłem się w rachubie: urzędnik, zarządzający biurem, widząc, że nie mam do niego żadnego interesu i zapewne podejrzywając mnie o złe zamiary, poprosił o opuszczenie biura. Próbowałem go przekupić, ale to tylko wzmocniło podejrzenie i natarczywie zażądał abym natychmiast wyszedł, grożąc zawołaniem policyanta.

Nie traciłem jednak nadziei; całe zadanie zawierało się w tem, żeby, wyszedłszy z biura, nie wpaść na Kapturkiewicza i niepostrzeżenie przedostać się do bufetu i tam dalej się ukrywać. Szczęście sprzyjało mi; kiedy wyszedłem na peron, Kapturkiewicza już tam nie było; poszedł zapewne odprowadzić żonę i siostrzenicę do powozu. Podniósłszy kołnierz paltota i nasunąwszy kapelusz na oczy, przebiegłem do bufetu i z wściekłością zacząłem zajadać bułkę ze szynką jednę za drugą, będąc przekonanym, że przy tem zajęciu nikt mnie nie pozna.

Wtem ukryciu spędziłem całe półgodziny. Potem, sądząc, że droga musi być na koniec swobodna, wyszedłem znów na peron i, rozumie się; wpadłem wprost w objęcia Kapturkiewicza, oczekującego przybycia następnego pociągu osobowego, o którym sądził, że przyjadę, spóźniwszy się na pierwszy.

— Bój się Boga! Matusiewicz! Co się z tobą dzieje? — zawołał, ujrzawszy mnie. — Gdzieżeś przepadał tyle czasu?

Przebąknąłem coś o otrzymanym telegramie, zniewalającym mnie do bezwłocznego powrotu i, widząc, że Kapturkiewicz otworzył usta od zdziwienia, odważyłem się dodać, że muszę natychmiast jechać z powrotem.

— Jest to sprawa życia lub śmierci!— dodałem. — Rozumiesz? — tylko co telegrafowałem, że przyjadę pierwszym pociągiem.

— Ależ, na miłość Boską, powiedz nakoniec, co się stało! Czy zachorował ktokolwiek? Pokaż mi telegram!

Udałem, że szukam w kieszeni, wreszcie oświadczyłem, że depeszę musiałem zgubić.

— To od mojego stryja, który nagle umarł — objaśniłem.

— Nagle umarł i po śmierci telegrafował do ciebie? — rzekł osłupiały Kapturkiewicz. — Muszę koniecznie zobaczyć ten telegram.. Ba! chodźmy do biura, tam dostaniemy kopię!

Z temi słowami pociągnął mię do biura telegrafu i zażądał pokazania tekstu depeszy, dostarczonej mi tylko-co.

— Nazwisko pańskie? — zapytał urzędnik.

— Matusiewicz - odpowiedział za mnie Kapturkiewicz.

— Telegramu z takim adresem nie było — wyrzekł urzędnik.

— Jakto nie było? — zawołał Kapturkiewicz. — Oto jest sam Matusiewicz, który przed kwadransem otrzymał depeszę i natychmiast dał odpowiedź!

— Pierwszy raz w życiu widzę tego pana — odrzekł chłodno urzędnik.

— Nie dawałem mu żadnego telegramu i żadnego też od niego nie przyjmowałem.

— Matusiewicz! — zawołał mój przyjaciel. — Co to wszystko znaczy? Zdaje mi się, że zwaryowałeś!

— Ja ci napiszę z Krakowa i wszystko wyjaśnię — odrzekłem zawstydzony. — Teraz więcej nie mogę ci powiedzieć. To zbyt silny i nieoczekiwany cios! Nie zwracaj na to uwagi. To czasem zdarza się ze mną!

— Zdarza się z nim: że stryj mu nagle umiera, a potem do niego telegrafuje! Słyszeliście coś podobnego? — zawołał Kapturkiewicz, dzieląc się swoim zdumieniem z całym światem... Matusiewicz! ty widocznie jesteś chory! Jedziemy do mnie, i ja zaraz poślę po doktora!

Nie wiem doprawdy, co na to odrzekłem, gdyż w tej chwili spadł na mnie nowy cios. Do Kapturkiewicza podeszła jego siostrzenica i stanęła zdumiona, patrząc to na mnie, to na stryja. Po chwili, widocznie domyśliwszy się wszystkiego, rzekła:

— To pan Matusiewicz, nieprawdaż!? — i zaczęła śmiać się do rozpuku.

Ręczę, że nikomu, odkąd świat stworzony, nie zdarzało się słyszeć takiego wesołego i zarażającego śmiechu, a iskierki migocące przytem w filuternych oczach dziewczęcia zmusiłyby każdego do wesołości. Nie mogłem również powstrzymać uśmiechu, a po chwili śmiałem się także na cały głos, podczas gdy Kapturkiewicz zdumiony spoglądał na nas z wyrazem przerażenia na twarzy.

Siostrzenica odezwała się pierwsza:

— Stryju! — rzekła — zdarzyła się omyłka, która byłaby okropną, gdyby pan Matusiewicz nie był sam humorystą i gdyby nie zauważył całej śmiesznej strony tej omyłki. Ciocia nie chciała nas czekać i pojechała już do domu, musimy więc iść piechotą, a po drodze opowiemy stryjowi całą historyę.

Wahałem się z początku, ale wreszcie pomyślałem, że lepiej spotkać się oko w oko z pięćdziesięciu ciotkami, niż rozstać się z siostrzenicą, nie dowiódłszy jej, że nie zawsze bywam głupim i czasami mogę nie być nudnym.

I nietylko poszedłem z nimi, ale nawet spędziłem w Tarnowie cały tydzień.

Wyjeżdżając stamtąd, byłem już narzeczonym i nazywałem panią Kapturkiewiczową „ciocią", aby dowieść jej, że nie jestem zawziętym i zaznaczyć zwycięstwo, odniesione przez człowieka, którego ona nazywała głupim i nudnym.

Wydawca: Lucyna Szczepańska. Redaktor odpowiedzialny: Ludwik Szczepański. Drukiem Józefa Fischera w Krakowie. Telef. 417

Wydawca: **Lucyna Szczepańska.** Redaktor odpowiedzialny: **Ludwik Szczepański.** Drukiem Józefa Fischera w Krakowie. Telef. 41